



JOSEPH
HELLER

Paragraf 22

Jedno z najwybitniejszych dzieł
amerykańskiej literatury XX wieku.

Skrząca się czarnym humorem
najsłynniejsza powieść o II wojnie
światowej.



1

TEKSAŃCZYK

Była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Kiedy Yossarian po raz pierwszy ujrzał kapelana, natychmiast zapalał do niego szalonym uczuciem.

Yossarian leżał w szpitalu z bólami wątroby, które jakoś nie mogły się przerodzić w pospolitą żółtaczkę. Lekarzy zbijało to z tropu. Gdyby to była żółtaczka, mogliby przystąpić do leczenia. Gdyby to nie była żółtaczka i bóle ustąpiłyby same, mogliby go wypisać ze szpitala. Tymczasem fakt, że było to cały czas takie ni to, ni owo, wprowadzał ich w zakłopotanie.

Codziennie rano przychodziło trzech energicznych, poważnych dżentelmenów, wygadanych i krótkowzrocznych, w asyście równie energicznej i poważnej siostry Duckett, jednej z pielęgniarek, które nie lubiły Yossariana. Oglądali kartę choroby wiszącą w nogach łóżka i wypytywali go niecierpliwie o bóle. Denerwowało ich, kiedy mówił, że bóle są takie same jak dotychczas.

– Nadal nie ma stolca? – pytał pułkownik.

Kręcił głową, a lekarze wymieniali spojrzenia.

– Proszę dać mu jeszcze jedną pigułkę.

Siostra Duckett notowała sobie polecenie i cała czwórka przechodziła do następnego łóżka. Żadna z pielęgniarek nie lubiła Yossariana. Właściwie jego bóle wątroby minęły, ale nie przyznawał się do tego, a lekarze nic nie podejrzewali. Podejrzewali go jedynie, że ma wypróżnienia, ale się z tym nie zdradza.

Yossarian miał w szpitalu wszystko, czego potrzebował. Jedzenie było nie najgorsze, posiłki podawano do łóżka. Chorzy otrzymywali dodatkowe porcje świeżego mięsa, w upalne popołudnia roznoszono chłodzone soki owocowe i mrożone kakao. Poza lekarzami i pielęgniarkami nikt go tu nie niepokoił. Musiał wprowadzić rano poświęcać nieco czasu na cenzurowanie listów, ale za to całą resz-

tę dnia miał prawo przeleżeć beczynnie z czystym sumieniem. W szpitalu było mu bardzo dobrze, a mógł tu pozostawać bez trudu, gdyż od urodzenia miał podwyższoną temperaturę. Był w znacznie lepszej sytuacji niż Dunbar, który, żeby dostawać posiłki do łóżka, musiał padać na twarz.

Kiedy Yossarian postanowił przeczekać tutaj do końca wojny, napisał do wszystkich znajomych, że jest w szpitalu, nie wspominając jednak, z jakiego powodu. Pewnego dnia wpadł na jeszcze lepszy pomysł. Napisał do wszystkich znajomych, że otrzymał bardzo niebezpieczne zadanie. „Pytali, kto się zgłasza na ochotnika. Zadanie jest bardzo niebezpieczne, ale ktoś musi je wykonać. Napiszę do was zaraz po powrocie”. I odtąd nie pisał już do nikogo.

Wszyscy oficerowie przebywający w szpitalu mieli obowiązek cenzurowania listów pacjentów szeregowców, którzy leżeli w innych salach. Było to nudne zajęcie i Yossarian doznał zawodu, przekonawszy się, że życie szeregowców jest niewiele ciekawsze niż życie oficerów. Po pierwszym dniu tej pracy stracił do niej zupełnie serce i aby się nieco rozerwać, zaczął sobie wymyślać zabawy. Precz z okreśnikami, oświadczył pewnego razu i we wszystkich listach, które przeszły przez jego ręce, znikły przysłówki i przymiotniki. Innego dnia wypowiedział wojnę spójnikom. Jeszcze większą inwencję wykazał w dniu, kiedy to powykreślał wszystko oprócz „a”, „i”, „ale” itp. Stwierdził, że dynamizuje to napięcie międzywierszowe, a poza tym prawie zawsze nadaje listom o wiele bardziej uniwersalny charakter. Potem zamazywał pozdrowienia, pozostawiając tekst listów nietknięty. Pewnego razu zaczerpnął wszystko z wyjątkiem słów „Kochana Mary” i dopisał pod spodem „Tęsknię za tobą tragicznie. A. T. Tappman, kapelan Armii Stanów Zjednoczonych”. A. T. Tappman był ich kapelanem.

Kiedy Yossarian wyczerpał już wszystkie możliwości w tekście listów, zaczął atakować nazwiska i adresy na kopertach, jednym niedbałym ruchem dłoni unicestwiając całe domy i ulice, niwecząc metropolie, jakby był Bogiem. Paragraf 22 wymagał, aby każdy ocenizowany list był podpisany przez oficera, który go czytał. Yossarian większości listów nie czytał w ogóle i na tych podpisywał się imieniem i nazwiskiem. Te, które czytał, podpisywał jako Washington Irving. Kiedy stało się to zbyt monotonne, pisał Irving Washington. Cenzurowanie kopert miało poważne następstwa, gdyż wywołało falę zaniepokojenia w pewnej nielubiącej rozgłosu instytucji wojskowej, która skierowała do szpitala swojego człowieka jako rzekomego pacjenta. Wszyscy wiedzieli, że jest to facet

z Wydziału Śledczego, ponieważ wypytywał o oficera nazwiskiem Irving lub Washington i już na drugi dzień odmówił cenzurowania listów. Zbyt go to nudziło.

Dostali tym razem dobrą salę, jedną z lepszych, w jakich Yossarian czy Dunbar mieli kiedykolwiek przyjemność leżeć. Był wśród nich dwudziestoczteroletni pilot w stopniu kapitana – z rzadkim złotawym wąsikiem – który, zestrzelony w środku zimy nad Adriatykiem, nie dostał nawet kataru. Teraz było lato, nikt kapitana nie zestrzelił, a on twierdził, że ma grypę. Po prawej ręce Yossariana leżał wciąż jeszcze w erotycznej pozycji na brzuchu kapitan ze zdziwieniem na twarzy, malarią we krwi i tyłkiem pokąsanym przez komary. Naprzeciwko Yossariana pod drugiej stronie sali leżał Dunbar, a obok niego kapitan artylerii, z którym Yossarian nie grywał już w szachy. Kapitan był dobrym szachistą, więc gra z nim była zawsze interesująca. Yossarian przestał z nim grywać, ponieważ stawało się to tak interesujące, że aż głupie. Mieli też w sali wykształconego Teksańczyka z Teksasu, który wyglądał, jakby wyszedł z filmu w technikolorze, i który jako patriota wierzył, że ludzie zamożni, czyli przyzwoici obywatele, powinni mieć więcej głosów w wyborach niż włóczędzy, kurwy, kryminaliści, degeneraci, ateści i obywatele nieprzyzwoici, czyli ludzie bez pieniędzy.

W dniu, kiedy pojawił się Teksańczyk, Yossarian tępił w listach rymujące się słowa. Był to któryś z rzędu cichy, upalny, spokojny dzień. Lejący się z nieba żar tłumiał dźwięki. Dunbar znowu leżał na wznak, bez ruchu, wpatrzony szklanym wzrokiem w sufit. Pracował nad przedłużeniem sobie życia. Osiągał to przez uprawianie nudy. Dunbar tak gorliwie pracował nad przedłużeniem sobie życia, że można go było wziąć za nieboszczyka. Teksańczyk dostał łóżko pośrodku sali i już wkrótce udostępnił wszystkim swoje poglądy.

Dunbar podskoczył jak ukąszony.

– Otóż to! – krzyknął z zapalem. – Czegoś tu brakowało i teraz już wiem czego. – Uderzył się pięścią w otwartą dłoń. – Brakowało patriotyzmu – oświadczył.

– Masz rację – zawtórował mu Yossarian. – Masz świętą rację. Parówki, drużyna Brooklyn Dodgers, szarlotka upieczona przez mamę. To jest to, o co wszyscy walczymy. Ale czy ktoś walczy o przyzwoitych obywateli? Czy ktoś walczy o większą liczbę głosów dla przyzwoitych obywateli? Nie ma w tym wszystkim patriotyzmu, ot co. Zresztą matriotyzmu również.

Na chorążym, który leżał na lewo od Yossariana, nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Gównu mnie to obchodzi – powiedział zmęczonym głosem i przewrócił się na drugi bok.

Teksańczyk okazał się człowiekiem dobronudszym, koleżeńskim i miłym. Po trzech dniach wszyscy mieli go po dziurki w nosie. Dostawali na jego widok drgawek i unikali go, jak tylko mogli. Jedyne żołnierz w bieli znajdował się w sytuacji przymusowej. Żołnierz w bieli był od stóp do głów zakuty w gips i spowity bandażami. Miał dwie bezużyteczne ręce i dwie bezużyteczne nogi. Przemycono go na salę w nocy i nikt nie miał pojęcia o jego obecności aż do rana, kiedy to po przebudzeniu ujrzeli dwie dziwne nogi i dwie dziwne ręce wyciągnięte pionowo w górę, zawieszone dziwacznie w powietrzu za pomocą ołowianych ciężarków zwisających złowieszczo nad jego nieruchomym ciałem. W bandażach po wewnętrznej stronie jego łokci mieściły się zasuwane na zamek błyskawiczny usta, do których spływał przezroczysty płyn z przezroczystego naczynia. Z gipsu pokrywającego pachwinę wystawała milcząca metalowa rurka, z podłączonym cienkim elastycznym przewodem, który bardzo sprawnie odprowadzał produkty jego nerek do zakorkowanego przezroczystego naczynia stojącego na podłodze. W miarę tego jak opróżniało się naczynie odżywiające jego łokieć, naczynie na podłodze napełniało się płynem i wówczas po prostu naczynia szybko przestawiano i płyn mógł z powrotem spływać w jego ciało. Właściwie z całego żołnierza w bieli nigdy nie widzieli nic prócz czarnej, strzępiastej dziury nad jego ustami.

Położono go obok Teksańczyka, który siadał bokiem na swoim łóżku i przemawiał do niego rano, po południu i wieczorem przyjemnym basem południowca, rozciągając głoski. Brak odpowiedzi zupełnie mu nie przeszkadzał.

Dwukrotnie w ciągu dnia chorym mierzono temperaturę. Codziennie wczesnym rankiem i drugi raz przed wieczorem wkraczała na salę siostra Cramer ze słojem pełnym termometrów i przechodziła wzdłuż jednego rzędu łóżek, a potem wracała wzdłuż drugiego rzędu, rozdając wszystkim pacjentom termometry. Z żołnierzem w bieli radziła sobie, wkładając termometr do dziury nad jego ustami i opierając go na dolnym brzegu otworu. Potem wracała do pierwszego pacjenta, brała jego termometr, notowała temperaturę i tak szła kolejno od łóżka do łóżka. Pewnego popołudnia, gdy zakończyła pierwszą rundę i podeszła powtórnie do żołnierza w bieli, spojrzała na termometr i stwierdziła, że pacjent zmarł.

– Morderca – powiedział spokojnym głosem Dunbar.

Teksańczyk spojrzał na niego z niepewnym uśmiechem.

– Zabójca – dodał Yossarian.

– O czym wy mówicie? – spytał nerwowo Teksańczyk.

– To ty go zamordowałeś – powiedział Dunbar.

– Zabiłeś go – zawtórował Yossarian.

Teksańczyk cofnął się przerażony.

– Czyście powariowali? Nawet go nie dotknąłem.

– Zamordowałeś go – powiedział Dunbar.

– Słyszałem, jak go zabijałeś – powiedział Yossarian.

– Zabiłeś go, bo był Murzynem – powiedział Dunbar.

– Oszałeliście?! – krzyknął Teksańczyk. – Tutaj Murzynów nie wypuszczają. Dla czarnych mają osobne miejsce.

– Sierżant go tu przeszmugłował – powiedział Dunbar.

– Sierżant komunista – dodał Yossarian.

– A ty się o tym dowiedziałeś.

Na chorążym, który leżał na lewo od Yossariana, cała sprawa żołnierza w bieli nie zrobiła wrażenia. Na chorążym w ogóle nic nie robiło wrażenia i jeśli się odzywał, to tylko po to, żeby dać upust niezadowoleniu.

Na dzień przed tym, jak Yossarian poznał kapelana, w jadalni wybuchł piec, wskutek czego barak kuchenny stanął w płomieniach. Podmuchał gojące powietrze dało się odczuć w całej bazie. Nawet w sali Yossariana, odległej o prawie sto metrów, słysząc było huk pożaru i ostre trzaski płonących belek. Za pomarańczowo połyskującymi szybami pędził dym. Po piętnastu minutach nadjechały z lotniska samochody straży pożarnej. Przez pół godziny mimo rozpaczliwych wysiłków strażaków sprawa wyglądała groźnie. Zaledwie strażacy zaczęli brać górę nad ogniem, rozległo się dobrze znane jednostajne buczenie powracających bombowców, musieli więc zwinąć swoje węże i pędzić na lotnisko, na wypadek gdyby któryś z samolotów rozbił się i zapalił przy lądowaniu. Wszystkie wylądowały pomyślnie. Gdy tylko ostatni z bombowców znalazł się na ziemi, strażacy zawrócili ciężarówki i popędzili na złamanie karku, żeby podjąć na nowo walkę z ogniem w szpitalu. Kiedy przybyli na miejsce, ognia już nie było. Zgasł sam, znikł, nie pozostawiając nawet żaru, który można by polać wodą. Zawiedzeni strażacy, nie mając nic do roboty, popijali letnią kawę i kręcili się koło szpitala w nadziei, że uda im się przerznąć jakąś pielęgniarkę.

Kapelana zjawiał się nazajutrz po pożarze. Yossarian był właśnie zajęty wykreślaniami z listów wszystkiego prócz zaklęć miłosnych,

kiedy na krześle koło łóżka usiadł kapelan i spytał go, jak się czuje. Siedział bokiem, Yossarian widział więc jedynie dystynkcje kapita-
na na jego kołnierzu. Nie wiedząc, kto to jest, uznał, że to jakiś nowy
lekarz albo nowy wariat.

– Zupełnie nieźle – odpowiedział. – Mam lekkie bóle wątroby i
nie bardzo można na mnie polegać, jeśli chodzi o stolec, ale w sumie
muszę przyznać, że czuję się zupełnie nieźle.

– To dobrze – powiedział kapelan.

– Tak – przyznał Yossarian. – Tak, to dobrze.

– Przyszedłbym wcześniej – powiedział kapelan – ale czułem
się niezbyt dobrze.

– To niedobrze – powiedział Yossarian.

– Byłem tylko przeziębiony – wyjaśnił pośpiesznie kapelan.

– Mam temperaturę trzydzieści osiem i dwie kreski – dorzucił
Yossarian równie szybko.

– To niedobrze – powiedział kapelan.

– Tak – zgodził się Yossarian. – To niedobrze.

Kapelan zaczął się wiercić na krześle.

– Czy mógłbym coś dla pana zrobić? – spytał po chwili.

– Nie. – Yossarian westchnął. – Lekarze robią chyba wszystko,
co w ludzkiej mocy.

– Ależ nie. – Kapelan z lekka się zarumienił. – Miałem na myśli
coś innego. Może papierosy... książki... zabawki...

– Nie, nie – powiedział Yossarian. – Dziękuję. Mam wszystko,
czego człowiekowi potrzeba, wszystko prócz zdrowia.

– To niedobrze.

– Tak. – Yossarian westchnął. – Tak, to niedobrze.

Kapelan znowu zaczął się wiercić. Zerknął kilka razy na boki,
spojrzał na sufit, potem na podłogę. Wreszcie westchnął głęboko.

– Porucznik Nately przesyła panu pozdrowienia – powiedział.

Yossarian z przykrością się dowiedział, że mają wspólnego zna-
jomego. Wyglądało na to, że teraz mają rzeczywiście temat do roz-
mowy.

– Zna pan porucznika Nately'ego? – spytał z żalem w głosie.

– Tak, znam go dość dobrze.

– Trochę zwariowany, prawda?

Kapelan uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Na ten temat, niestety, nic nie mogę powiedzieć. Nie znam go
aż tak dobrze.

– Może mi pan wierzyć na słowo – powiedział Yossarian. –
Trudno o większego wariata.

Kapelan starannie ważył kolejną chwilę milczenia, aż nagle przerwał je niespodziewanym pytaniem.

– Pan kapitan Yossarian, prawda?

– Natety miał trudne dzieciństwo. Pochodzi z dobrej rodziny.

– Proszę mi wybaczyć – nalegał bojaźliwie kapelan – ale możliwe, że popełniłem poważny błąd. Czy pan jest kapitan Yossarian?

– Tak – wyznał kapitan Yossarian. – Kapitan Yossarian to ja.

– Z dwieście pięćdziesiątej szóstej eskadry?

– Z dwieście pięćdziesiątej szóstej eskadry bojowej. Nie słyszałem, żeby byli jacyś inni kapitanowie Yossarianowie. O ile wiem, jestem jedynym kapitanem Yossarianem, jakiego znam, ale mogę mówić tylko za siebie.

– Rozumiem – powiedział kapelan z nieszczęśliwą miną.

– To jest dwa do ósmej potęgi bojowej – zauważył Yossarian – gdyby chciał pan napisać symboliczny wiersz o naszej eskadrze.

– Nie – mruknął kapelan – nie planuję pisania symbolicznego wiersza o pańskiej eskadrze.

Yossarian poderwał się gwałtownie, gdyż wypatrzył maleńki srebrny krzyżyk po drugiej stronie kołnierza kapelana. Wywarło to na nim piorunujące wrażenie, bo nigdy dotąd nie rozmawiał z kapelanem.

– Pan jest kapelanem! – krzyknął zachwycony. – Nie wiedziałem, że pan jest kapelanem.

– Ależ tak – odpowiedział kapelan. – To pan nie wiedział, że jestem kapelanem?

– Ależ skąd! Nie wiedziałem, że pan jest kapelanem.

Yossarian pożerał go zachwyconymi oczami, z uśmiechem szczęścia na twarzy.

– Nigdy w życiu nie widziałem kapelana – wyznał.

Kapelan znów się zapłonił i spuścił oczy. Był to drobny, może trzydziestodwuletni mężczyzna o kasztanowatych włosach i nieśmiałych piwnych oczach. Twarz miał pociągłą i bladą. Niewinny młodzieńczy trądzik pokrywał jego zapadnięte policzki. Yossarian chciał mu jakoś pomóc.

– Czy mogę coś dla pana zrobić? – spytał kapelan.

Yossarian pokręcił głową, nadal uśmiechając się od ucha do ucha.

– Nie, dziękuję. Mam wszystko, czego mi potrzeba, i czuję się zupełnie dobrze. Prawdę mówiąc, nie jestem nawet chory.

– To dobrze – powiedział kapelan i natychmiast się zreflektował. Parsknąwszy śmiechem, zasłonił dłonią usta, ale Yossarian

sprawił mu zawód, gdyż pozostał niewzruszony. – Muszę jeszcze odwiedzić innych żołnierzy z naszej grupy – powiedział kapelan po chwili. – Odwiedzę pana znowu, może jutro.

– Bardzo proszę.

– Przyjdę pod warunkiem, że sam pan sobie tego życzy – powiedział kapelan spuszczając nieśmiało głowę. – Zauważyłem, że wielu moja obecność krępuje.

Yossarian promieniował serdecznością.

– Ależ chcę, żeby mnie pan odwiedził. Wcale nie będę się czuł skrępowany.

Kapelan uśmiechnął się z wdzięcznością i zerknął w dół na skrawek papieru, który przez cały czas ukrywał w dłoni. Poruszając bezgłośnie wargami, policzył łóżka i z powątpiewaniem zatrzymał wzrok na Dunbarze.

– Przepraszam, czy to jest porucznik Dunbar? – spytał szeptem.

– Tak – odpowiedział Yossarian na cały głos – to jest porucznik Dunbar.

– Dziękuję – szepnął kapelan. – Bardzo panu dziękuję. Jemu też muszę złożyć wizytę. Muszę odwiedzić wszystkich żołnierzy naszej grupy, którzy przebywają w szpitalu.

– Tych w innych salach też? – spytał Yossarian.

– Tych w innych salach też.

– Niech ksiądz będzie ostrożny w innych salach – ostrzegł Yossarian. – Trzymają w nich chorych umysłowo. Pełno tam wariatów.

– Nie trzeba się do mnie zwracać per „ksiądz” – wyjaśnił kapelan. – Jestem anabaptystą.

– Mówię o tych innych salach zupełnie poważnie – ciągnął Yossarian ponuro. – Żandarmi pana nie będą bronić, bo sami są największymi wariatami. Poszedłbym z panem, ale sam jestem w strachu. Obłęd jest zaraźliwy. Z całego szpitala tylko nasza sala jest normalna. Wszyscy oprócz nas to wariaci. Możliwe, że to w ogóle jedyna normalna sala na całym świecie.

Kapelan pośpiesznie wstał i odsunął się od łóżka Yossariana, a potem kwiął głową z uspokajającym uśmiechem i obiecał zachować należytą ostrożność.

– A teraz muszę odwiedzić porucznika Dunbara – powiedział. Mimo to ociągał się jeszcze, jakby miał skrupuły. – Chciałbym się o nim czegoś dowiedzieć – odezwał się wreszcie.

– To wspaniały człowiek – zapewnił go Yossarian. – Prawdziwy hrabia. Jeden z najlepszych, najmnij skłonnych do poświęceń

ludzi na świecie.

– Nie to miałem na myśli – wyjaśnił szeptem kapelan. – Czy on jest bardzo chory?

– Nie, nie jest bardzo chory. Prawdę powiedziawszy, wcale nie jest chory.

– To dobrze. – Kapelan westchnął z ulgą.

– Tak – zgodził się Yossarian. – Tak, to bardzo dobrze.

– Kapelan! – zawołał Dunbar, kiedy kapelan pożegnał się z nim i wyszedł. – Widziałeś coś takiego? Kapelan.

– Uroczy, prawda? – powiedział Yossarian. – Chyba powinni mu dać ze trzy głosy.

– Kto ma dać mu trzy głosy? – spytał podejrzliwie Dunbar.

Na końcu sali za przepierzeniem z pomalowanej na zielono dykty pracował niestrudzenie w swoim łóżku poważny pułkownik w średnim wieku. Codziennie odwiedzała go łagodna, miła kobieta o kręconych popielatoblond włosach, która nie należała ani do personelu szpitalnego, ani do Kobiecego Korpusu Pomocniczego, ani do Czerwonego Krzyża, a mimo to zjawiała się niezmiennie każdego popołudnia w szpitalu na Pianosie, ubrana w bardzo eleganckie pastelowe letnie sukienki, białe pantofelki na obcasie i nylonowe pończochy o nieskazitelnie prostych szwach. Pułkownik był łącznościowcem i dzień i noc bez przerwy wycharkiwał służbowe komunikaty ze swego wnętrza do płatków gazy, które następnie starannie składał i odsyłał do białego naczynia z pokrywą, stojącego na jego stoliku nocnym. Pułkownik był wspaniały. Miał zapadnięte usta, zapadnięte policzki, zapadnięte, smutne, kaprawe oczy. Jego twarz miała barwę oksydowanego srebra. Kasłał cicho, ostrożnie i powoli przykładał do warg płatki gazy z obrzydzeniem, które stało się już automatyczne.

Wokół pułkownika kłębili się specjaliści, specjalizujący się w próbach ustalenia, co mu jest. Świecili mu w oczy, żeby się przekonać, czy widzi, wbijali mu igły w ośrodki nerwowe, żeby usłyszeć na własne uszy, czy czuje. Był tam urolog od uryny, limfolog od limfy, endokrynolog od endokrynów, psycholog od psychiki, dermatolog od dermy; był patolog zajmujący się jego patosem, cytolog zajmujący się jego cystami oraz łysy i pedantyczny cetolog z wydziału zoologii na Uniwersytecie Harvarda, bezlitośnie porwany w szeregi lekarzy wojskowych na skutek przepalenia się lampy w mózgu elektronowym, usiłujący teraz dyskutować z umierającym pułkownikiem na temat *Moby Dicka*.

Pułkownik został przebadany co się zowie. Każdy organ jego

ciała naszpikowano lekarskami, sponiewierano, wydrenowano i wydrylowano, obmacano i sfotografowano, wyjęto, splądrowano i wsadzono z powrotem. Schludna, szczupła, prosta jak trzcina kobieta dotykała go i uśmiechała się, siedząc przy jego łóżku jak ucieleśnienie godnego smutku. Pułkownik był wysoki, chudy i zgarbiony. Kiedy wstawał, garbił się jeszcze bardziej, aż cała jego postać stała się wklęsła. Chodząc, stawiał stopy z największą ostrożnością, przesuając je o kilkanaście centymetrów. Pod oczami miał fioletowe worki. Kobieta mówiła bardzo cicho, ciszej nawet niż pułkownik kasłał, i nikt z leżących na sali nie słyszał jej głosu.

W ciągu niespełna dziesięciu dni Teksańczyk wypłoszył wszystkich. Pierwszy załamał się kapitan artylerii, zapoczątkowując istny exodus. Dunbar, Yossarian i kapitan pilot zwiali tego samego ranka. Dunbar przestał cierpieć na zawroty głowy, kapitanowi przeszedł katar. Yossarian powiedział lekarzom, że bóle wątroby ustąpiły. Nawet chorąży uciekli. Nie trzeba było niczego więcej. W ciągu niespełna dziesięciu dni Teksańczyk zapędził wszystkich z powrotem do szeregów – wszystkich z wyjątkiem faceta z Wydziału Śledczego, który się zaraził od kapitana pilota i dostał zapalenia płuc.

2

CLEVINGER

Pod pewnym względem ten facet z Wydziału Śledczego miał szczęście, gdyż poza ścianami szpitala nadal toczyła się wojna.

Ludzie wpadali w szal i dostawali medale. Na całym świecie chłopcy po obu stronach linii frontu ginęli za coś, co, jak im powiedziano, jest ich ojczyzną, i nikt jakoś nie miał nic przeciwko temu, nawet oni sami. Nie widać było końca temu wszystkiemu. Jedyne koniec, jakiego można się było spodziewać, to był koniec Yossariana, a mógł przecież leżeć sobie w szpitalu do dnia Sądu Ostatecznego, gdyby nie ten patriotyczny Teksańczyk ze swymi lejkokształtnymi policzkami i wymiętoszonym, rozmamłanym, niezniszczalnym uśmiechem, przecinającym niezmiennie jego twarz niczym rondo wielkiego czarnego kowbojskiego kapelusza. Teksańczyk pragnął, aby wszyscy na sali z wyjątkiem Yossariana i Dunbara byli zadowoleni. Był naprawdę bardzo chory.

Ale Yossarian nie potrafił być zadowolony, choćby nawet Teksańczyk życzył mu czegoś wręcz przeciwnego, gdyż poza murami szpitala nadal działały się niewesołe rzeczy. Nadal trwała wojna i wyglądało na to, że oprócz Yossariana i Dunbara nikt tego nie dostrzega. Kiedy zaś Yossarian usiłował ludziom o tym przypominać, odsuwali się od niego jak od wariata. Nawet Clevinger, po którym można się było spodziewać czegoś więcej, nawymyślał mu od wariatów, kiedy się ostatnio widzieli, to znaczy tuż przed ucieczką Yossariana do szpitala.

Clevinger wpatrywał się w niego bliski apopleksji z wściekłości i kurczowo trzymając się stołu, krzyczał:

- Jesteś wariat!
- Clevinger, czego ty właściwie chcesz od ludzi? – tonem znużenia odpowiedział Dunbar w rozgwarze klubu oficerskiego.
- Ja nie żartuję – upierał się Clevinger.

– Oni chcą mnie zabić – powiedział spokojnie Yossarian.
– Nikt nie chce cię zabić! – krzyknął Clevinger.
– To dlaczego do mnie strzelają? – spytał Yossarian.
– Oni strzelają do wszystkich – odpowiedział Clevinger. – Chcą zabić wszystkich.

– A co to za różnica?

Clevinger, podniecony, uniósł się z krzesła, oczy mu zaszczyły łzami, zbieleły wargi drżały. Jak zwykle, kiedy bronił zasad, w które święcie wierzył, zaczynał sapać nerwowo i łykać gorzkie łyzy fanatyzmu. Clevinger miał wiele takich zasad, w które święcie wierzył. Clevinger był wariatem.

– Co to znaczy oni? – dopytywał się. – Kto, według ciebie, chce cię zamordować?

– Oni wszyscy – odpowiedział mu Yossarian.

– Jacy oni?

– A jak ci się wydaje?

– Nie mam pojęcia.

– No to skąd wiesz, że nie chcą mnie zamordować?

– Stąd, że... – Clevingera zatkało i umilkł zbity z tropu.

Był przekonany, że ma rację, ale Yossarian rozporządzał niezbitymi dowodami, gdyż zupełnie nie znani mu ludzie strzelali do niego z działek za każdym razem, kiedy leciał zrzucać na nich bomby, co nie było wcale zabawne. A tyle innych rzeczy, jeszcze mniej zabawnych? Nie było też nic zabawnego w tym, że mieszkał jak włóczęga w namiocie na Pianosie, mając za plecami wielkie góry, a przed sobą spokojną, błękitną toń morza, które mogło pochłoniąć człowieka w mgnieniu oka i odesłać go po trzech dniach z powrotem na brzeg, *loco i franco*, wzdętego, sinego i nadgniętego, z zimną wodą wyciekającą z nozdrzy.

Namiot Yossariana stał pod wąskim bezbarwnym laskiem oddzielającym jego eskadrę od eskadry Dunbara. Tuż obok przebiegał wykop nieczynnej linii kolejowej, w którym ułożono rurociągi doprowadzający benzynę lotniczą do cystern na lotnisku. Dzięki Orrowi był to najbardziej luksusowy namiot w całej eskadrze. Ilekroć Yossarian wracał z wakacji w szpitalu albo z urlopu w Rzymie, zaskakiwało go jakieś nowe udogodnienie, które Orr wprowadził podczas jego nieobecności. Raz była to woda bieżąca, innym razem kominek lub betonowa podłoga. Yossarian wybrał miejsce i wspólnie z Orrem ustawili namiot. Orr, wiecznie uśmiechnięty pigmej z odznaką pilota i gęstą, falującą kasztanową czupryną z przedziałkiem pośrodku, wnosił swoją wiedzę, Yossarian zaś, jako wyższy,

silniejszy, szerszy w ramionach i szybszy, wykonywał większość prac. Mieszkali tylko we dwóch, chociaż namiot był sześćoosobowy. Kiedy przyszło lato, Orr podwinął boczne ścianki, żeby wpuścić wiatr, który jednak nie chciał jakoś wiać i odświeżać rozpalonego powietrza.

Najbliższym sąsiadem Yossariana był Havermeyer, który uwielbiał sezamki, mieszkał sam w dwuosobowym namiocie i noc w noc strzelał do małych polnych myszek wielkimi kulami z czterdziestkopiątki skradzionej nieboszczykowi z namiotu Yossariana. W następnym namiocie McWatt nie mieszkał już z Clevingerem, który jeszcze nie wrócił, gdy Yossarian wyszedł ze szpitala. McWatt mieszkał teraz z Natelym, który spędzał urlop w Rzymie, gdzie zakochany po uszy zalecał się do pewnej zaspanej dziwki, śmiertelnie znudzonej i swoim procederem, i jego zalotami. McWattowi brakowało piątej kleпки. Był pilotem i przy każdej okazji przelatywał najniżej jak tylko mógł nad namiotem Yossariana, żeby go nastraszyć. Lubił również pikować z szaleńczym rykiem motorów na tratwę z desek i pustych beczek, przy której lotnicy kapali się nago tuż przy piaszczystej, nieskazitelnie białej plaży. Mieszkanie w jednym namiocie z wariatem nie było łatwe, ale Natel nie miał nic przeciwko temu. On też był wariatem i wszystkie wolne chwile spędzał przy budowie klubu oficerskiego, do której Yossarian nawet nie przyłożył ręki.

Prawdę mówiąc, wiele było klubów oficerskich, do których budowy Yossarian nie przyłożył ręki, ale najbardziej szczylił się tym na Pianosie, był to bowiem trwały i okazały pomnik jego silnej woli. Yossarian ani razu nie przyszedł pomóc przy budowie, za to później, gdy klub już ukończono, przychodził bardzo często, urzeczony tym dużym, pięknym, nieregularnym budynkiem krytym gontem. Była to rzeczywiście wspaniała konstrukcja i Yossariana przepęśniało uczucie nieklamanej dumy, ilekroć spojrzał na nią i pomyślał, że nawet nie kiwnął palcem przy jej wznoszeniu.

Ostatnim razem, kiedy nawymyślali sobie z Clevingerem od wariatów, siedzieli we czterech w głębi sali, obok stołu do gry w kości, przy którym niezmiennie wygrywał Appleby. Appleby grał w kości równie dobrze jak w ping-ponga, a w ping-pongu był równie dobry jak we wszystkim innym. Wszystko, co robił, robił dobrze. Był jasnowłosym chłopcem z Iowy, wierzył, nigdy się nad tym nie zastanawiając, w Boga, Macierzyństwo i Amerykański Styl Życia i był przez wszystkich lubiany.

– Jak ja nienawidzę tego skurwysyna – warknął Yossarian.

Kłótnia między nim a Clevingerem wybuchła przed kilkoma minutami, kiedy to Yossarian nie mógł znaleźć karabinu maszynowego. Wieczór był pełen ruchu i gwaru. Rojno było przy barze, przy stole do gry w kości i przy stole do ping-ponga. Ludzie, których Yossarian chciał wykosić z karabinu maszynowego, tłoczyli się przy barze śpiewając stare sentymentalne piosenki, które wszystkim oprócz niego się podobały. Nie mając karabinu maszynowego, Yossarian rozgniół obcasem piłeczkę pingpongową, gdy potoczyła się w jego stronę odbita raketką jednego z dwóch grających oficerów.

– Ach, ten Yossarian. – Dwaj oficerowie ze śmiechem pokręcili głowami i wzięli nową piłeczkę z pudełka na półce.

– Ach, ten Yossarian – odpowiedział im Yossarian.

– Yossarian – szepnął Nately ostrzegawczo.

– Sami widzicie – powiedział Clevinger.

Oficerowie roześmiali się, że Yossarian ich przedrzeźnia.

– Ach, ten Yossarian – powtórzyli głośniej.

– Ach, ten Yossarian – zawtórował im Yossarian.

– Yossarian, proszę cię – błagał Nately.

– Sami widzicie – powtórzył Clevinger – że on jest nieprzystosowany do życia w społeczeństwie.

– Zamknij się – powiedział Dunbar. Dunbar lubił Clevingera, ponieważ Clevinger go drażnił, zwalniając w ten sposób bieg czasu.

– Appleby'ego wcale tu nie ma – obwieścił triumfalnie Clevinger.

– A kto mówił o Applebym? – spytał Yossarian.

– Pułkownika Cathcarta też nie ma.

– A kto tu mówił coś o pułkowniku Cathcartcie?

– No, to którego skurwysyna tak nienawidzisz?

– A jaki skurwysyn jest na sali?

– Nie będę się z tobą sprzeczał – zdecydował nagle Clevinger. – Sam nie wiesz, kogo nienawidzisz.

– Wszystkich, którzy chcą mnie otruć – powiedział Yossarian.

– Nikt cię nie chce otruć.

– Jak to, przecież już dwa razy zatruli mi jedzenie. Może nie wysypali mi trucizny do jedzenia, raz kiedy bombardowaliśmy Ferrarę, a drugi raz podczas Wielkiego Oblężenia Bolonii?

– Wtedy wszyscy dostali zatrute jedzenie – wyjaśnił Clevinger.

– A co to za różnica?

– A poza tym to wcale nie była trucizna! – krzyknął Clevinger podniecając się coraz bardziej, w miarę jak coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał.

Yossarian wyjaśnił mu z cierpliwym uśmiechem, że jak daleko sięga pamięcią, ktoś zawsze czyha na jego życie. Są ludzie, którzy go lubią, i są inni, którzy go nie lubią i chcą go ukatrupić. Nienawidzą go za to, że jest Asyryjczykiem. Ale nie mogą mu nic zrobić, jak tłumaczył Clevingerowi, ponieważ ma zdrowego ducha w zdrowym ciele i jest silny jak byk. Nie mogą mu nic zrobić, ponieważ jest Tarzanem, Mandrakim i Flash Gordonem z komiksów w jednej osobie. Jest Billem Szekspirem. Jest Kainem, Ulisessem, Latającym Holendrem; jest Lotem z Sodomy, Deirdre z legendy, Sweeneyem wśród słowików, jest tajemniczym Z-247. Jest...

– Wariat! – zapiał Clevinger. – Wiesz, kto ty jesteś? Jesteś wariat!

– ...wspaniały, najprawdziwszy, bombowy, autentyczny cud natury. Jestem *bona fide supraman*.

– Superman?! – krzyknął Clevinger. – Ty jesteś Supermanem?

– *Supraman* – poprawił go Yossarian.

– Panowie, dajcie spokój – uciszał ich zawstydzony Nately. – Wszyscy na nas patrzą.

– Jesteś wariat! – krzyczał głośno Clevinger ze łzami w oczach.

– Masz kompleks Jehowy!

– Dla mnie wszyscy są Natanielami.

Clevinger przerwał swoją orację, wietrzając jakiś podstęp.

– Kto to jest Nataniel? – spytał.

– Jaki Nataniel? – rzucił niewinnie Yossarian.

Clevinger zręcznie ominął pułapkę.

– Według ciebie każdy jest Jehową. Jesteś nie lepszy niż Raskolnikow...

– Niż kto?

– ...tak, Raskolnikow, który...

– Raskolnikow!

– ...który sądził, że można usprawiedliwić morderstwo staruszki...

– Nie lepszy?

– ...tak, usprawiedliwić... siekierą! Mogę ci to udowodnić!

Sapiąc nerwowo, Clevinger wyliczał symptomy choroby Yossariana: nieuzasadnione przekonanie, że atakują go sami wariaci, morderczy popęd do koszenia obcych ludzi z karabinu maszynowego, przekraczanie faktów, wyssane z palca podejrzenia, że ludzie go nienawidzą i spiskują, aby go zgładzić.

Yossarian był jednak pewien swojej racji, gdyż jak wyjaśnił Clevingerowi, o ile wie, nigdy się nie myli. Wszędzie widzi wokół siebie tylko szaleńców i jedyną rzeczą, jaką wśród tego szaleństwa

może zrobić rozsądny młody dżentelmen taki jak on, to zachować rozsądek. Jest to tym ważniejsze, że wie, iż jego życie znajduje się w niebezpieczeństwie.

Yossarian po powrocie ze szpitala przyglądał się wszystkim spod oka. Milo wyjechał do Smyrny na zbiór fig, lecz mimo jego nieobecności kuchnia działała sprawnie. Yossarian poczuł przenikliwy zapach ostro przyprawionej baraniny już w karetce, która podskakiwała po wyboistej drodze ciągnącej się jak stare szelki pomiędzy szpitalem a eskadrą. Na obiad były kebabcze, duże smakowite porcje przyprawionego mięsa, marynowanego przez siedemdziesiąt dwie godziny w miksturze, której tajemnicę Milo wykrał jakiemuś chytremu lewantyńskiemu handlarzowi; skwierczały teraz na ruszcie jak diabli. Do tego podano perski ryż i szparagi z parmezanem, a na deser był krem z wiśniami i świeżo parzona kawa z koniakiem lub likierem benedyktyńskim. Posiłek serwowali w ogromnych porcjach na adamaszkowych obrusach zręczni włoscy kelnerzy, których major... de Coverley porwał i przywiózł na wyspę w darze Milowi.

Yossarian opychał się, dopóki nie poczuł, że zaraz pęknie, i w błogiej oціężałości osunął się na oparcie krzesła, mając usta wypełnione soczystym wspomnieniem uczty. Nikt z oficerów eskadry nie jadł nigdy w życiu tak dobrze jak teraz w stołówce Mila i Yossarian zastanawiał się przez chwilę, czy nie jest to wystarczającą rekompensatą za wszystko inne. Zaraz jednak odbiło mu się i natychmiast przypomniał sobie, że jego życie jest w niebezpieczeństwie, wyskoczył więc jak oparzony ze stołówki, żeby poszukać doktora Daneeki i zażądać zwolnienia ze służby liniowej i odesłania do kraju. Doktor Daneeka siedział na wysokim stołku, wygrzewając się w słońcu przed swoim namiotem.

– Pięćdziesiąt akcji – powiedział, kręcąc głową. – Pułkownik żąda pięćdziesięciu lotów bojowych.

– Ale ja mam tylko czterdzieści cztery!

Doktor Daneeka pozostał niewzruszony. Był to smutny, podobny do ptaka człowiek, ze szpatułkowatą twarzą o ostrych rysach przywodzących na myśl dobrze utrzymanego szczura.

– Pięćdziesiąt lotów bojowych – powtórzył, kręcąc głową. – Pułkownik żąda pięćdziesięciu lotów.

3

HAVERMEYER

Kiedy Yossarian wrócił ze szpitala, zastał jedynie Orra i nieboszczyka. Ten nieboszczyk z namiotu Yossariana był niezwykle uciążliwy i Yossarian go nie lubił, mimo że nigdy go nie widział. Fakt, że on tak leży pod bokiem przez cały dzień, drażnił Yossariana do tego stopnia, że kilkakrotnie już chodził na skargę do sierżanta Towsera, który twierdził, że nieboszczyk w ogóle nie istnieje, co zresztą teraz było już prawdą. Jeszcze bardziej beznadziejnie kończyły się próby zwracania się bezpośrednio do majora Majora, wysokiego, kościstego dowódcy eskadry, który wyglądał trochę jak udręczony Henry Fonda i uciekał ze swego pokoju przez okno, ilekroć Yossarianowi udało się sforsować sierżanta Towsera. Nieboszczyk z namiotu Yossariana nie był zbyt przyjemnym współlokatorem. Wyprowadzał z równowagi nawet Orra, też niezbyt przyjemnego współlokatora, majstrującego w dniu powrotu Yossariana przy kraniku do piecyka na ropę, który zaczął budować, kiedy Yossarian leżał w szpitalu.

– Co robisz? – spytał na wszelki wypadek Yossarian, wchodząc do namiotu, chociaż od razu zobaczył, o co chodzi.

– Chcę naprawić kranik – odpowiedział Orr. – Trochę przecieka.

– Proszę cię, przestań – powiedział Yossarian. – Denerwujesz mnie.

– Kiedy byłem małym chłopcem – odpowiedział Orr – całymi dniami chodziłem z dzikimi jabłkami w ustach, po jednym z każdej strony.

Yossarian położył worek, z którego zaczął wyładować przybory toaletowe, i zastygł podejrzliwie w pozie pełnej napięcia. Po minucie nie wytrzymał i spytał:

– Dlaczego?

Orr zachichotał zwycięsko.

– Bo są lepsze niż kasztany – odpowiedział.

Orr klęczał w namiocie na ziemi. Pracując bez wytchnienia,

rozbierał kranik, układał starannie wszystkie drobniotki części, liczył je i bez końca badał każdą z osobna, jakby nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego, a potem składał malutkie urządzenie z powrotem i znowu zaczynał od początku, nie tracąc cierpliwości ani zainteresowania, nie wykazując najmniejszych oznak zmęczenia, nie zdradzając niczym, że kiedykolwiek skończy. Yossarian patrzył na to jego majsterkowanie i czuł rosnącą pewność, że jeżeli Orr natychmiast nie przestanie, będzie musiał go z zimną krwią zamordować. Jego spojrzenie powędrowało w stronę kordelasa, który nieboszczyk w dniu swego przybycia zawiesił na ramie moskitiery. Nóż wisiał obok pustej kabury nieboszczyka, z której Havermeyer ukradł rewolwer.

– Jak nie było dzikich jabłek – mówił dalej Orr – używałem kasztanów. Kasztany są prawie tej samej wielkości co dzikie jabłka, a kształt mają nawet lepszy, chociaż kształt nie gra tu żadnej roli.

– Pytałem cię, dlaczego chodziłeś z dzikimi jabłkami w ustach – powtórzył Yossarian. – O to pytałem.

– Bo mają lepszy kształt niż kasztany – odpowiedział Orr. – Już ci to mówiłem.

– Dlaczego w ogóle wypychałeś sobie czymkolwiek policzki, ty diabelski, technicznie uzdolniony, wydziedziczony skurwysynu? – zaklął Yossarian z podziwem.

– Wcale nie wypychałem sobie policzków czymkolwiek – odpowiedział Orr – tylko dzikimi jabłkami. A kiedy nie było dzikich jabłek, używałem kasztanów. Do wypychania policzków oczywiście.

Zachichotał. Yossarian postanowił nie odzywać się więcej. Orr czekał, ale Yossarian go przetrzymał.

– Po jednym z każdej strony – powiedział Orr.

– Po co?

Orr natychmiast chwycił go w swoje szpony.

– Co po co? – spytał.

Yossarian roześmiał się i kręcąc głową, odmawiał odpowiedzi.

– Ciekawa historia z tym zaworem – zastanawiał się na głos Orr.

– Dlaczego? – spytał Yossarian.

– Bo chciałem mieć...

Yossarian już się domyślał.

– Jezu Chryste! Ale dlaczego chciałeś mieć...

– ...policzki jak jabłuszka.

– ...policzki jak jabłuszka? – spytał Yossarian.

– Chciałem mieć policzki jak jabłuszka – powtórzył Orr. – Od dziecka marzyłem o tym, żeby mieć kiedyś policzki jak jabłuszka, i postanowiłem pracować, dopóki nie osiągnę swojego celu, i Bóg mi świadkiem, że nie spocząłem, dopóki nie osiągnąłem swojego celu, chodząc po całych dniach z dzikimi jabłkami w ustach. Po jednym z każdej strony – dodał, chichocząc.

– Ale dlaczego chciałeś mieć policzki jak jabłuszka?

– Wcale nie chciałem mieć policzków jak jabłuszka – powiedział Orr. – Chciałem mieć pucołowate policzki. Nie zależało mi specjalnie na kolorze, chciałem tylko, żeby były pucołowate. Pracowałem nad tym jak ci zwariowani faceci, o których się czasem czyta, że po całych dniach ściskają w dłoni gumową piłeczkę, żeby sobie wzmocnić rękę. Prawdę mówiąc, ja też należałem do tych zwariowanych facetów. Też po całych dniach ścisakałem gumową piłeczkę w dłoni.

– Po co?

– Co po co?

– Po co ścisakałem po całych dniach gumową piłeczkę?

– Bo gumowe piłeczki... – zaczął Orr.

– ...są lepsze niż dzikie jabłka?

Orr parsknął śmiechem i pokręcił głową.

– Robiłem to, żeby zachować twarz, w razie gdyby ktoś mnie przylapał na tym, że noszę dzikie jabłka w ustach. Mając gumową piłeczkę w dłoni mógłbym wyprzeć się dzikich jabłek w ustach. Gdyby mnie ktoś spytał, dlaczego trzymam dzikie jabłka w ustach, mogłem po prostu otworzyć dłoń i pokazać, że trzymam gumową piłeczkę, a nie dzikie jabłka, i nie w ustach, tylko w dłoni. Pomysł był dobry, ale nie wiedziałem, czy ludzie coś z tego rozumieją, bo niełatwo jest coś wytłumaczyć, kiedy się mówi z dzikimi jabłkami w ustach.

Yossarian stwierdził, że on też nie bardzo rozumie, i zastanawiał się, czy Orr, nadymając te swoje policzki jak jabłuszka, nie robi z niego balona.

W tej sytuacji Yossarian postanowił nie odzywać się już ani słowem. Byłby to daremny trud. Znał Orra i wiedział, że za nic w świecie nie wydobędzie teraz z niego, po co chciał mieć policzki jak jabłuszka. Nie warto było go o to pytać, podobnie jak nie warto było go pytać, dlaczego pewnego ranka w Rzymie pewna dziwka waliła go pantoflem po głowie w zatłoczonym korytarzu przed otwartymi drzwiami pokoju młodszej siostry dziwki Nately'ego. Była to dorodna dziewczucha z długimi włosami i z wyraźnie zaznaczającą

się siecią błękitnych żyłek, zwłaszcza w miejscach, gdzie ciało jest najdelikatniejsze. Miotła wyzwicka, wrzeszczała i podskakiwała wysoko w górę na swoich bosych stopach, aby móc walić Orra ostrym obcasem pantofla w sam czubek głowy. Byli oboje nadzy i narobili takiego szumu, że wszyscy wyjrżeli na korytarz zobaczyć, co się dzieje, i stali parami w drzwiach swoich pokoiów – wszyscy nago, z wyjątkiem starej baby w swetrze i fartuchu, która coś tam gdakała niezadowolona, oraz sprośnego, rozpustnego starucha, który podczas całej sceny zanosił się radosnym chichotem z jakąś chciwą i pełną satysfakcji uciechą. Dziewczyna wrzeszczała, a Orr się zaśmiewał. Na każde uderzenie obcasem w głowę odpowiadał głośniejszym wybuchem śmiechu, czym doprowadzał ją do jeszcze większego szału, więc podskakiwała jeszcze wyżej, żeby walić go po tym łbie, a jej niewiarygodnie pełne piersi fruwały po całym korytarzu jak chorągwie łopoczące na wietrze, zaś potężne pośladki i uda podrygiwały niczym jakieś przerażające Eldorado. Ona wrzeszczała, a Orr zaśmiewał się tak długo, aż po kolejnej porcji wrzasków zwała go celnym, tęgim ciosem w skroń, po którym Orr przestał się śmiać i został zabrany na noszach do szpitala z niezbyt głęboką dziurą w głowie i z bardzo łagodnym wstrząsem mózgu, w sumie zaledwie na dwanaście dni zwolnienia lekarskiego.

Nikt nie zdołał ustalić, co się wtedy zdarzyło, nawet chichoczący staruch i gdacząca starucha, którzy wiedzieli o wszystkim, co się działo w tym rozległym, nieogarnionym burdelu, z jego niezliczonymi pokojami po obu stronach wąskich korytarzy, rozchodzących się z przestronnego salonu z zasłoniętymi oknami i jedyną lampą. Zawsze potem na widok Orra dziewczyna zadzierała sukienkę powyżej obcisłych, białych elastycznych majtek i drwiącym, ordynarnym ruchem wypinała na niego swój mocny, krągły brzuch, obrzucając go przy tym wyzwiskami i śmiejąc się ochryple, on zaś chichotał lekliwie i chował się za Yossariana. Cokolwiek zrobił, usiłował zrobić albo nie zdołał zrobić za zamkniętymi drzwiami pokoju młodszej siostry dziwki Nately'ego, pozostawało tajemnicą. Dziewczyna nie chciała nic powiedzieć ani dziwce Nately'ego, ani żadnej innej dziwce, ani Nately'emu, ani Yossarianowi. Orr może by i powiedział, ale Yossarian postanowił nie odzywać się więcej do niego ani słowem.

– Powiedzieć ci, dlaczego chciałem mieć puciołowate policzki?
– spytał Orr.

Yossarian jakby nabrał wody w usta.

– Pamiętasz – mówił Orr – jak wtedy w Rzymie ta dziewczyna, co cię nie znosi, waliła mnie po głowie obcasem? Czy chcesz wie-

dzieć dlaczego?

Nadal nie sposób było wyobrazić sobie, czym mógł ją rozżłościć do tego stopnia, że przez piętnaście czy dwadzieścia minut tłukła go po głowie, nie do tego jednak, żeby chwycić go za nogi i roztrzaskać mu czaszkę. Niewątpliwie miała taką przewagę wzrostu, że mogła to zrobić. Orr oprócz pucołowatych policzków miał wystające zęby, wylupiaсте oczy i był niższy nawet od młodego Huple'a, który mieszkał po gorszej stronie torów kolejowych, czyli tam, gdzie mieściła się administracja i gdzie Joe Głodomór noc w noc krzyczał przez sen.

Strefa administracji, w której Joe Głodomór przez pomyłkę rozbił swój namiot, znajdowała się pośrodku obozu eskadry, między wykopem z zardzewiałymi torami a wyboistą szosą. Na tej szosie żołnierze mogli podrywać dziewczęta, jeżeli tylko obiecali podwieźć je tam, gdzie chciały – piersiaste, młode, proste, roześmiane, szczerbate dziewczuchy, z którymi można było zjechać z szosy i rozłożyć je na łące, z czego Yossarian korzystał, kiedy tylko mógł, nie tak często jednak, jak go do tego namawiał Joe Głodomór, który miał dostęp do jeepa, ale nie umiał prowadzić. Namioty szeregowych stały po drugiej stronie drogi tuż obok kina pod gołym niebem, gdzie ku codziennej uciechu umierających ścierały się co wieczór na składanym ekranie armie ciemniaków i gdzie tego właśnie popołudnia zjechała kolejna grupa objazdowego zespołu estradowego.

Zespoły te nasyłał generał P.P. Peckem, który przeniósł swoją kwaterę do Rzymu i nie miał nic lepszego do roboty, gdy nie był zajęty kopaniem dołków pod generałem Dreedle'em. Generał Peckem nade wszystko cenił sobie porządek. Był to energiczny, gładki w obejściu, pedantyczny generał, który znał obwód równika i zawsze pisał „prolongata”, kiedy chodziło o „przedłużenie”. Był to kawał kutasa, o czym najlepiej wiedział generał Dreedle, rozwścieczony najnowszym poleceniem generała Peckema, aby wszystkie namioty w rejonie Morza Śródziemnego stały wzdłuż równoległych linii, z wejściami zwróconymi dumnie w stronę pomnika Waszyngtona. Generał Dreedle, który dowodził jednostką liniową, uważał, że jest to wielka bzdura. Co więcej, generał Peckem nie miał nic do tego, jak są ustawione namioty w oddziale generała Dreedle'a. Wynikł z tego zażarty spór kompetencyjny pomiędzy oboma książętami udzielnymi, który rozstrzygnął na korzyść generała Dreedle'a były starszy szeregowy Wintergreen, sortujący pocztę w dowództwie Dwudziestej Siódmej Armii Lotniczej. Wintergreen przesądził o wyniku sporu, wrzucając do kosza wszystkie pisma od generała Pec-

kema. Uważał, że są zbyt rozwlekłe. Poglądy generała Dreedle'a, wyrażane mniej pretensjonalnym stylem, znajdowały uznanie w oczach byłego starszego szeregowego Wintergreena, który bezwzględnie przekazywał je dalej, z niezwykłą gorliwością trzymając się wszelkich przepisów. Generał Dreedle zwyciężył walkowerem.

Aby odbudować swój nadszarpnięty autorytet, generał Peckem zaczął wysyłać więcej zespołów estradowych niż kiedykolwiek przedtem i obciążył samego pułkownika Cargilla odpowiedzialnością za to, aby przyjmowano je z należyty entuzjazmem.

Tymczasem w grupie Yossariana nie było żadnego entuzjazmu. Było za to coraz więcej szeregowych i oficerów, którzy po kilka razy dziennie zjawiali się uroczyście w kancelarii sierżanta Towsera, żeby spytać, czy przyszedł już rozkaz przeniesienia ich do kraju. Wszyscy mieli zaliczone po pięćdziesiąt lotów bojowych. Było ich teraz więcej niż wówczas, kiedy Yossarian poszedł do szpitala, i nadal czekali. Denerwowali się i ogryzali paznokcie. Byli groteskowym obrazem młodych bezrobotnych z lat kryzysu. Poruszali się bokiem, jak kraby. Czekali na rozkaz, który odeśle ich bezpiecznie do kraju, a czekając, nie mieli nic lepszego do roboty, jak tylko się denerwować, ogryzać paznokcie i zjawiać się uroczyście po kilka razy dziennie w kancelarii sierżanta Towsera z pytaniem, czy przyszedł już rozkaz o wysłaniu ich do kraju.

Zdawali sobie sprawę z tego, że walczą z czasem, gdyż wiedzieli z gorzkiego doświadczenia, że pułkownik Cathcart może w każdej chwili podnieść wymaganą liczbę lotów bojowych. Nie mieli nic innego do roboty, jak tylko czekać. Jedynie Joe Głodomór miał co robić po powrocie z każdego kolejnego lotu. W nocy dręczyły go zmyślenia i odnosił zwycięstwa w walkach na pięści z kotem Huple'a. Siadał z aparatem fotograficznym w pierwszym rzędzie na wszystkich występach artystycznych i usiłował robić zdjęcia, zaglądając pod spódnicę jasnowłosej śpiewaczki z wielkim biustem rozpierającym bluzkę naszytą cekinami. Ani jedno zdjęcie się nie udało.

Pułkownik Cargill, prawa ręka generała Peckema, potężny, rumiany mężczyzna, przed wojną był czujnym, bezwzględny i energicznym dyrektorem handlowym. Pułkownik Cargill był złym handlowcem. Był tak okropnym handlowcem, że wyrzywały go sobie firmy zmuszone ze względów podatkowych wykazać straty. W całym cywilizowanym świecie, od Battery Park do Fulton Street, znano go jako człowieka, na którym można polegać, kiedy chodzi o szybkie obniżenie stopy podatkowej. Jego usługi były drogie, gdyż niepowodzenia są często trudne do osiągnięcia. Musiał zaczynać od

szczytu i torować sobie drogę w dół, a kiedy się ma przyjaciół w rządzie, niełatwo jest robić złe interesy. Wymagało to nieraz miesięcy ciężkiej pracy i nieomylnie błędnego planowania. Człowiek dezorganizował, podejmował błędne decyzje, nie doglądał, wszystkie drzwi zostawiał otworem, a kiedy się zdawało, że już zrobił swoje, rząd dawał mu jezioro albo las, albo pole naftowe i psuł całą robotę. Jednak na pułkowniku Cargillu można było polegać. Nawet w tak niesprzyjających okolicznościach potrafił zrujnować najlepiej prosperujące przedsiębiorstwo. Doszedł do tego własną pracą i swoje niepowodzenia zawdzięczał wyłącznie sobie.

– Panowie – zaczął pułkownik Cargill przemówienie w eska-drze Yossariana, starannie odmierzając pauzy. – Jesteście oficerami Armii Stanów Zjednoczonych. Oficerowie żadnej innej armii na świecie nie mogą tego o sobie powiedzieć. Zastanówcie się nad tym.

Sierżant Knight zastanowił się nad tym i poinformował uprzejmie pułkownika, że zwraca się do podoficerów i szeregowych, oficerowie zaś czekają na niego po drugiej stronie placu. Pułkownik Cargill podziękował mu energicznie i odszedł wielce z siebie zadowolony. Dumą napawał go fakt, że dwadzieścia dziewięć miesięcy służby w wojsku nie przytępiło jego niezwykłego talentu do popęłniania błędów.

– Panowie – zaczął przemówienie do oficerów, starannie odmierzając pauzy. – Jesteście oficerami Armii Stanów Zjednoczonych. Oficerowie żadnej armii na świecie nie mogą tego o sobie powiedzieć. Zastanówcie się nad tym.

Odczekał chwilę, aby dać im czas na zastanowienie.

– Ci ludzie są waszymi gośćmi! – krzyknął nagle. – Przebyli prawie pięć tysięcy kilometrów, aby dostarczyć wam rozrywki. Jak się będą czuli, jeżeli nikt nie przyjdzie ich oglądać? Jak to wpłynie na ich morale? Słuchajcie, panowie, ja nie mam w tym żadnego interesu, ale ta dziewczyna, która chce dziś dla was zagrać na akordeonie, jest w tym wieku, że mogłaby być matką. Jak byście się czuli, gdyby tak wasza matka przebyła prawie pięć tysięcy kilometrów, żeby zagrać na akordeonie żołnierzom, a oni nie chcieliby jej słuchać? Co będzie czuło to dziecko, którego matką mogłaby już być ta akordeonistka, kiedy dorośnie i dowie się o tym? Odpowiedź na to pytanie może być tylko jedna. Panowie, nie chciałbym zostać źle zrozumiany. Wszystko to jest oczywiście dobrowolne. Jestem ostatnim pułkownikiem na świecie, który by kazał wam iść i bawić się pod przymusem, ale życzę sobie, aby każdy, kto nie jest taki chory, że musi leżeć w szpitalu, poszedł natychmiast na ten występ i bawił

się. Proszę to uważać za rozkaz!

Yossarian natychmiast poczuł się tak źle, że mógłby wrócić do szpitala, a jeszcze gorzej poczuł się po trzech następnych lotach, kiedy doktor Daneeka, kręcąc melancholijnie głową, nadal odmawiał zwolnienia go z lotów.

– Tobie się zdaje, że masz kłopoty? – zganił go ze smutkiem. – To co ja mam powiedzieć? Przez osiem lat żywiłem się fistaszkami, żeby ukończyć studia medyczne. Potem, już w swoim gabinecie, odżywiałem się karmą dla drobiu, dopóki nie rozwinąłem praktyki na tyle, że zacząłem wychodzić na swoje. Wreszcie, kiedy interes zaczął dawać dochód, zgarnęli mnie do wojska. Nie rozumiem, na co ty narzekasz.

Doktor Daneeka był przyjacielem Yossariana, więc nie chciał nawet kiwnąć palcem, żeby mu pomóc. Yossarian słuchał z uwagą opowieści doktora Daneeki o pułkowniku Cathcartie ze sztabu grupy, który chciał zostać generałem, o generale Dreedle'u ze sztabu skrzydła i jego pielęgniarcie oraz o wszystkich innych generałach Dwudziestej Siódmej Armii Lotniczej, którzy żądali tylko czterdzieści lotów bojowych do zaliczenia służby.

– Uśmiechnij się i ciesz się z tego, co masz – radził ponuro Yossarianowi. – Bierz przykład z Havermeyera.

Yossarian zadrżał na samą myśl o czymś takim. Havermeyer był bombardierem prowadzącego bombowca i nigdy nie usiłował robić uników, kiedy nalatywał na cel, narażając w ten sposób wszystkie załogi lecące za nim.

– Havermeyer, dlaczego, do cholery, nigdy nie robisz uników? – z wściekłością rzucali się na niego po wylądowaniu.

– Zostawcie kapitana Havermeyera w spokoju – rozkazywał pułkownik Cathcart. – To jest najlepszy bombardier w całej cholernej jednostce.

Havermeyer szczerzył zęby, kiwał głową i usiłował wyjaśnić, jak za pomocą kordelasa produkuje pociski dum-dum, którymi potem strzela co noc do myszy polnych. Havermeyer rzeczywiście był najlepszym bombardierem w jednostce, ale leciał prosto i równo przez cały czas, od punktu początkowego do celu, a nawet jeszcze daleko poza cel, dopóki nie zobaczył, że spadające bomby uderzają w ziemię i wybuchają w nagłym pomarańczowym rozbrłyku, nad którym wiruje całun dymu, i tryskają w górę wielkimi czarnoszarymi falami drobne szczątki. Havermeyer prowadził prosto i równo jak kaczki po wodzie sześć samolotów ze zdrtwiałymi ze strachu śmiertelnikami, podczas gdy sam z żywym zainteresowaniem ob-

serwował ze swojej pleksiglasowej kabiny spadające bomby, dając niemieckim artylerzystom tam, w dole, czas na nastawienie celowników, wycelowanie i naciśnięcie cyngli, dźwigni spustowych, guzików czy innych świrństw, które oni tam do cholery naciskają, kiedy chcą zabić bliżej siebie nieznanych osobników.

Havermeyer był prowadzącym bombardierem, który nigdy nie chybiał. Yossarian był prowadzącym bombardierem, którego zdegradowano, ponieważ już dawno przestało go interesować, czy trafi, czy nie. Postanowił żyć wiecznie; był to jedyny cel, dla osiągnięcia którego gotów był narażać życie, i w każdej chwili interesowało go wyłącznie to, żeby wrócić cało i zdrowo.

Ludzie lubili latać za Yossarianem, który spadał błyskawicznie na cel z każdego kierunku i z każdej wysokości, wznosząc się, nurkując i skręcając tak gwałtownie, że piloci pozostałych pięciu samolotów z największym trudem utrzymywali się w szyku; wyrównywał tylko na dwie, trzy sekundy niezbędne do zrzucenia bomb i znowu podrywał się w górę z rozdzierającym uszy rykiem silników, wykonując tak raptowne manewry wśród ognia zaporowego dział przeciwlotniczych, że wkrótce szóstka samolotów rozsypywała się po całym niebie jak modlitwy, stając się łakomym kąskiem dla niemieckich myśliwców, czym Yossarian wcale się nie przejmował, gdyż niemieckich myśliwców już nie było, a on nie życzył sobie, żeby mu jakieś samoloty wybuchały przed nosem. Dopiero kiedy cały ten *Sturm und Drang* mieli daleko za sobą, znużony zsuwał hełm ze spoconej głowy i przestawał wyszczekiwać komendy do siedzącego przy sterach McWatta, który w takiej chwili nie miał większych zmartwień jak to, gdzie spadły bomby.

- Komora bombowa pusta! – meldował sierżant Knight z tyłu.
- Czy trafiliśmy w most? – pytał McWatt.
- Nie widziałem. Rzuciło mną tak, że nic nie mogłem zobaczyć. Teraz wszystko zasłania dym i też nic nie widzę.
- Hej, Aarfy, czy bomby spadły na cel?
- Na jaki cel? – odzywał się kapitan Aardvaark, pulchny, palący fajkę nawigator, znad chaosu map w kabinie dziobowej obok Yossariana. – Czy jesteśmy już nad celem?
- Yossarian, czy bomby trafiły w cel?
- Jakie bomby? – odpowiadał Yossarian, który myślał wyłącznie o ogniu artylerii przeciwlotniczej.
- A zresztą, było nie było – mruczał McWatt.

Yossariana guzik obchodziło, czy trafił, pod warunkiem że zrobił to Havermeyer lub ktoś inny z prowadzących bombardierów, bo

wtedy nie musieli wracać. Od czasu do czasu Havermeyer doprowadzał kogoś do wściekłości i obrywał w ucho.

– Mówiłem wam już, żebyście dali spokój kapitanowi Havermeyerowi – ostrzegął gniewnie pułkownik Cathcart. – Mówiłem wam już, że to nasz najlepszy bombardier.

Havermeyer szczyrzył zęby w odpowiedzi na interwencję pułkownika i pychał do ust kolejną sesamkę.

Havermeyer nabrał wielkiej wprawy w strzelaniu do myszy z rewolweru ukradzionego nieboszczykowi z namiotu Yossariana. Używał na przynętę cukierka i z wycelowanym rewolwerem siedział w ciemnościach czekając, aż ofiara uszczknie pierwszy kęs; w drugiej ręce trzymał sznurek przeciągnięty od ramy moskitiery do nagiej żarówki pod sufitem. Sznurek był napięty niczym struna od bandzo i najlżejsze dotknięcie zapalało żarówkę, która oślepiła drżącą mysz potokiem światła. Havermeyer chichotał radośnie, gdy zwierzątko zastygało w przerażeniu i łypało oczkami, gorączkowo wypatrując napastnika. Havermeyer czekał, aż mysz go zobaczy, a wtedy wybuchał głośnym śmiechem i naciskał jednocześnie spust, rozbryzgując z głośnym plaśnięciem cuchnące włochate ciało po całym namiocie i odsyłając jej (czy też jego) nieśmiałą duszyczkę na łono mysiego Abrahama.

Strzeliwszy tak kiedyś w środku nocy do myszy, obudził Joego Głodomora, który wyskoczył boso na dwór, wrzeszcząc skrzekliwym głosem na całe gardło, i popędził do namiotu Havermeyera, waląc raz po raz ze swojej czterdziestkiptki. Sforsował już duży wykop oddzielający namioty, ale nagle znikł w jednym z rowów łącznikowych, które pojawiły się przy każdym namiocie jak za dotknięciem różdżki czarnoksiężskiej następnego ranka po tym, jak Milo Minderbinder zbombardował ich eskadrę. Stało się to tuż przed świtem podczas Wielkiego Oblężenia Bolonii, kiedy milczący nieboszczycy zaludniali nocne godziny jak żywe upiory, a Joe Głodomór odchodził od zmysłów ze zdenerwowania, ponieważ znowu odbył przepisaną liczbę lotów i był zwolniony z udziału w akcjach bojowych. Joe Głodomór bełkotał bez związku, kiedy wyciągnęto go z błota na dnie rowu łącznikowego, krzyczał coś o żmijach, szczurach i pająkach. Wszyscy skierowali tam na wszelki wypadek światła swoich latarek. Nie dostrzegli nic oprócz kilku centymetrów wody deszczowej.

– Widzicie?! – zawołał Havermeyer. – Mówiłem wam. Mówiłem wam, że to wariat!